

Beata Kozaczyńska
UPH, Siedlce

Bez rodziców, bez domu... Okupacyjna codzienność dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny do dystryktu warszawskiego w latach 1942-1943 (wybrane aspekty)

Wojenne losy dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny związane są z dystryktem warszawskim. Zaangażowanie, determinacja i bezinteresowność w niesieniu pomocy od pierwszych chwil po przybyciu transportów z dziećmi (i starcami) przyczyniła się do ocalenia wielu istnień ludzkich. Katastrofalny stan zdrowotny dzieci powodował konieczność udzielenia im natychmiastowej pomocy medycznej i sanitarnej (również w szpitalach warszawskich). Dzieci te objęto szczególną troską, zapewniając im schronienie i opiekę głównie w rodzinach zastępczych przez wiele miesięcy, aż do zakończenia wojny. Kontrole warunków bytowych stwarzały czasem konieczność umieszczania dzieci w placówkach opiekuńczych. Zwracano przy tym uwagę, czy nie są one wykorzystywane do prac fizycznych (głównie na wsiach). Podczas pobytu w rodzinach zastępczych bywało, iż nawiązywała się między dziećmi a opiekunami silna więź emocjonalna. Odnawiano też przypadki nadopiekuńczości opiekunów. Tam, gdzie było to możliwe, objęto dzieci powszechnym obowiązkiem szkolnym.

Każde dziecko ma prawo do szczęśliwego, beztroskiego dzieciństwa. W czasie drugiej wojny światowej okupant niemiecki odebrał to prawo milionom dzieci. W wyniku działań wojennych i terroru hitlerowskiego zginęło około 2 250 000 dzieci polskich (Ślaski, 1990, s. 550; Pilichowski, 1979, s. 52). Do rangi symbolu zbrodniczej działalności okupanta niemieckiego urosła tragedia dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny. Podzieliły one los dorosłych mieszkańców tego terenu. Podczas wysiedlania Niemcy stosowali niezwykle brutalne metody. Nie oszczędzano przy tym kobiet i dzieci. Ludność polską mordowano bez względu na wiek i płeć. Do uciekających strzelano „jak do zajęcy” (Mańkowski, 1978, s. 270). Dzieci siłą odłączane od rodziców w obozie przejściowym w Zamościu, stanowiącym kolejny etap gehenny wysiedleńców, przechodziły selekcję rasową. Te spośród nich, spełniające nazistowskie kryteria rasowe (typ nordycki: blond włosy, niebieskie oczy), przeznaczone były na germanizację i wywożone do Rzeszy. Natomiast niezakwalifikowanych na zniemczenie małoletnich więźniów umieszczano w najgorszych, tzw. końskich barakach. Brak opieki, zarówno rodzicielskiej, jak i medycznej, a także głód, zimno, ciasnota, choroby i ciężkie warunki sanitarne powodowały, iż dzieci te masowo umierały, w oczekiwaniu na transporty.

Dramat dzieci polskich, wywożonych zimą 1942-1943 r. w czasie siarczystych mrozów z obozu przejściowego w Zamościu w bydłych, nieogrzewanych wagonach, w nieznanym kierunku, wywołał wstrząs w całym kraju. Ludność gromadziła się na stacjach kolejowych, by ratować je przed zniemczeniem i zagładą. Wiele z nich udało się wykraść bądź wykupić na trasach przejazdów transportów.

Sześć transportów z dziećmi i starcami (5321 osób) skierowano wówczas z obozu przejściowego w Zamościu do trzech powiatów: Garwolin, Siedlce i Mińsk Mazowiecki, położonych w dystrykcie warszawskim. Dzieci te miały ogromne szanse na przeżycie, dzięki natychmiastowej pomocy i troskliwej opiece, jaką zostały otoczone przez miejscowe społeczeństwo. Były one wprost rozchwytywane z punktów zbiorczych, a liczba zgłoszeń osób oferujących gotowość przyjęcia dziecka (bądź jego adopcji) przewyższała liczebność transportów. W Siedlcach już w ciągu pierwszej doby po przybyciu wysiedlone dzieci znalazły schronienie w rodzinach zastępczych w mieście i okolicznych wsiach (Kozaczyńska, 2006, s. 61). O przybyciu wysiedleńców do tego miasta wspomina Waław Mil „(...) transport zatrzymał się w Siedlcach. Zostaliśmy wyrzuceni z wagonów i Niemcy przestali się nami interesować. Zaopekowały się nami polskie rodziny, niejednokrotnie wielodzietne, żyjące w nędzy, ale wychodzące z założenia, że kawałek chleba dla sieroty nawet w najbiedniejszym domu musi się znaleźć” (Rago, 1968, s. 2). Wśród siedlczan zdeterminowanych w niesieniu pomocy nowoprzybyłym wysiedleńcom znalazł się m.in. krawiec Marian Radomycki.

„Przyszedł na stację niejako służbowo, żeby wszystkiego przypilnować – odnotowano w 1983 r. na łamach »Kuriera Polskiego« – ale kiedy zobaczył, że »bez przydziału« została matka z czworgiem dzieci – wziął rodzinę do siebie. Mieszkał wtedy z teściową, żoną, z dwiema córkami i bratankiem w jednym pokoju. Żona widząc przybyłych złapała się za głowę – coś ty zrobił – wykrzyknęła – do jednej izby... Powiedziałem: »Bez dyskusji, dzieci są głodne, trzeba je nakarmić«. Ale cała rodzina Swatków (bo takie nosili nazwisko) rzeczywiście nie mogła się pomieścić razem z Radomyckimi. Na szczęście tego samego wieczoru z wizytą przyszedł serdeczny kolega Radomyckiego, Lucjan Grabiński. On to właśnie wraz z żoną przygarnął Swatkową z dwójką dzieci – siedmioletnią Helenką i ośmioletnim Stasiem. Dwunastoletni Janek i czteroletni Romek zostali u Radomyckich. Łachy zawsze wrzuciliśmy do komina, umyliśmy te biedactwa, nakarmiliśmy i trzeba było je w coś ubrać. A że jestem krawcem to szybko przerobiłem stary mundur dla Janka, a Romek chodził w ubrankach po dziewczynkach. I tak rozpoczęliśmy życie w trochę większej niż do tej pory rodzinie. Ale bardzo zgodnie. A że Grabińscy mieszkali o krok, to dzieci stałe widziały się z matką, a i nasze dziewczynki tam chodziły i oni do nas. (...)” (Lenar, 1983, nr 123).

Zdarzało się, iż w transportach wraz z dziećmi przybyli też ich najbliżsi (matki, babcie, rzadziej ojcowie), a czasem krewni bądź znajomi. Bywało, iż podczas rejestracji odmawiali oni podania dokładnych danych osobowych dzieci, szczególnie tych w wieku powyżej 14 lat, w obawie przed wywiezieniem ich na roboty przymusowe do Rzeszy. Natomiast kwaterując dzieci w rodzinach zastępczych, starano się nie odłączać ich od przybyłych wraz z nimi członków rodzin. Strach przed powtórny rozdzieleniem, a także silne więzy rodzinne, wzmocnione podczas pobytu w obozie przejściowym w Zamościu, uniemożliwiały umieszczanie tych dzieci pod opieką małżeństw bezdzietnych lub posiadających mniej liczne potomstwo. W miarę możliwości mieszkaniowych starano się lokować tych wysiedleńców razem bądź w bliskiej odległości, co dawało możliwość częstego (nawet codziennego) kontaktu. Szczególnie trudną sytuację odnotowano w powiecie garwolińskim,

z uwagi na duży stopień zniszczeń, brak odpowiedniego wyposażenia, nieodpowiednie warunki sanitarne itp. (AAN, RGO, sygn. 777, k. 3). Przykładowo w Żelechowie, dokąd skierowano największą liczbę wysiedleńców z Zamojszczyzny, w trosce o dobro dzieci przybyłych wraz z członkami rodzin, część z nich zakwaterowano w domach żydowskich — na wpół zrujnowanych, ograbionych podczas likwidacji getta. Obraz tamtych dni zachował się w pamięci Marii Sochy (z d. Probodiak), wysiedlonej z Sitańca (powiat Zamość), wówczas trzynastoletniego dziecka:

„Rozlokowano nas w opustoszałych domach żydowskich, dla dorosłych została zorganizowana kuchnia, a dzieci znalazły całodzienną opiekę u sióstr zakonnych. Wigilię i Boże Narodzenie przeżyliśmy w osamotnieniu, przy wyżebranej kapuście w jednej misce i przy jednej zapalanej świecy. W Boże Narodzenie otrzymaliśmy z ogólnej kuchni po pół litra zupy z kluskami z razowej mąki. Sąsiedzi — Żelechowianie w pierwszych dniach byli nawet wrogo nastawieni do nas. Twierdzili, że musieliśmy coś złego zrobić Niemcom, skoro nas wypędzili z własnych domostw. Dopiero z czasem przekonali się, że spotkała nas wielka tragedia” (Socha, 2004, s. 5).

Katastrofalny stan zdrowotny wysiedlonych dzieci wymagał umieszczenia wielu z nich w miejscowych szpitalach. W pierwszych miesiącach po przybyciu transportów wysiedlone dzieci masowo przechodziły zapalenie płuc, odrę, grypę, biegunkę itp. W wielu miejscowościach zorganizowano tymczasowe izby chorych lub prowizoryczne „szpitaliki”. Często napotymano jednak na trudności lokalowe. Brakowało też podstawowych sprzętów, narzędzi oraz środków sanitarnych, co sprzyjało szerzeniu się chorób zakaźnych. Inna bariera wiązała się z postawą ludności opiekującej się wysiedlonymi dziećmi, na co wskazała w relacji z pobytu w marcu 1943 r. w Mordach przedstawiciel firmy Haberbusch i Schiele, sprawującej opiekę nad dziećmi przebywającymi w tym miasteczku:

„Wyjazd do Mord był jednorazowy, zastano dzieci w strasznym stanie. W samych Mordach jest 142 dzieci, ogółem osób 400. Na czołowe miejsce wysunęła się potrzeba montowania szpitalika, który ma objąć 2 sale przy ośrodku zdrowia. (...) Rodziny wolą niejednokrotnie trzymać chore dzieci przy sobie, niż dawać do szpitala. Jest to typowa mentalność wiejska” (AAN, RGO, sygn. 687, k. 191).

Więzało się to, jak należy przypuszczać, z obawą przed zabraniem dzieci i niepokojem o ich dalszy los.

Z braku miejsc dzieci były przewożone do warszawskich szpitali, zaś po okresie hospitalizacji trafiały do stołecznych rodzin. Przyjęcie do domu przez mieszkańców stolicy dziecka wysiedlonego z Zamojszczyzny wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem, a nawet zagrożeniem życia, gdyż Niemcy kategorycznie zabronili przywożenia ich do Warszawy, grożąc surowymi karami. Wśród osób, które zdecydowały się nieść im pomoc, znaleźli się m.in. Janina i Bronisław Piekarscy. O fakcie tym wspomina ich syn Maciej: „(...) gdy tylko rodzice przywieźli Janka po Sadybie zaczęły kursować plotki, że za grube dolary przechowują żydowskie dziecko, a teraz, gdy zobaczono z nim ciotkę, dodano, że przechowują również Żydówkę” (Piekarski, 1979, s. 75). Mimo tych bezzasadnych podejrzeń chłopiec pozostał w tej rodzinie przez dwa lata, aż do kwietnia 1945 r.

Na ślad dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny przebywających w powiecie garwolińskim natrafiła 6 stycznia 1943 r. Maria Fandri (ps. „Smętek”), działaczka Związku Spółdzielni Spożywców „Spółem” w Warszawie. Jeszcze tego samego dnia udało jej się przewieźć ze Stoczek Łukowski do Warszawy

i umieścić w kwarantannie Zarządu Miejskiego 24 najciężej chorych dzieci. Dwa dni później zabrano stamtąd kolejne 16 dzieci. Nie zważano przy tym na wspomniany zakaz władz okupacyjnych stolicy. W styczniu i lutym 1943 r. do akcji pomocy włączyły się harcerki, organizując „wyprawy po dzieci” (głównie do powiatu garwolińskiego). Przywożone stamtąd dzieci znajdowały schronienie u osób prywatnych oraz w schronisku przy ul. Okopowej 59 i specjalnie zorganizowanym sierocińcu dla dziewcząt, pod nazwą: „Dom w słońcu” (ul. Ikara 13A), wspieranym finansowo przez warszawską palarnię kawy „Pluton” oraz firmy: „Szumilin” i „Lawina” (Brzozowska, 1993, s. 44; Tarasiewicz, 1971, s. 64). W pierwszym kwartale 1943 r. kilkadziesiąt wysiedlonych dzieci z Zamojszczyzny przebywających w powiatach: garwolińskim i mińsko-mazowieckim umieszczono w klasztorze sióstr Urszulanek (ul. Gęsta 1), w „Zakładzie Salezjańskim im. Księdza Siemca” na Powiślu. Akcję tę kontynuowano w kolejnych miesiącach 1943 r. (Kozaczyńska, 2011, s. 191).

Oprócz pomocy medycznej priorytetem okazało się odwzieszenie dzieci i dezynfekcja odzieży. W wielu miejscowościach dystryktu warszawskiego organizowano w tym celu specjalne kolumny dezynfekcyjne. Do pomocy włączyli się też pracownicy Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), koordynującej działalność pomocową na rzecz wysiedleńców z Zamojszczyzny. Przykładowo w Łaskarzewie, w pierwszych dniach po zakwaterowaniu dzieci w willi „świt”, przeprowadzono

„(...) przegląd osobistej czystości, generalną kąpiel i strzyżenie włosów ze względu na wszawicę. W okrągłej balii myliśmy wszystkich po kolei – starców i dzieci – wspomina Maria Kuzańska-Obręczkowska. Najtrudniej było oczyścić głowy. Czarna jednolicie skóra nie puszczała brudu mimo kilkakrotnych namydeń. Skuteczność okazały się dopiero szczołki ryżowe od szorowania podłóg. Czarne wszy wżarte w skórę głowy sypały się jak deszcz pod wpływem energicznego szorowania” (Kuzańska-Obręczkowska, 1975, s. 146-147).

Akcja ratowania dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny w dystrykcie warszawskim nie ograniczała się do zapewnienia im „dachu nad głową” i opieki oraz pomocy medycznej i sanitarnej. Wielu opiekunów zatroszczyło się o uczestnictwo swoich podopiecznych w zajęciach szkolnych. Wśród nich znalazła się m.in. rodzina Prochenków z Siedlec, która przygamęta Zbigniewa Kukiełko, trzynastolatka wysiedlonego z Huty Komarowskiej (powiat Tomaszów Lubelski).

„Zbyszek poszedł do szkoły, już do 7 klasy – czytamy we wspomnieniach jego opiekunki Janiny Prochenki – Był zdolny i nawet dobrze wyglądał. 1 jest miesiąc kwiecień [1944 r.] – mamy niespodziankę – przychodzi do nas jakiś mężczyzna i mówi, że jest ojcem Zbyszka. Okropna radość i rozczarowanie, bo chce zabrać Zbyszka. Nawiązała się rozmowa, że Zbyszek chodzi do szkoły, ojciec jest zdziwiony i mówi do mnie – proszę Pani, bardzo dziękuję, że Pani przygamęta moje dziecko, dała jeść, ale nade wszystko, że Pani pomyślała o szkole, tego się nie spodziewałem – ze łzami w oczach ucałował moje obydwie ręce (...)” (Prochenka, mps. ndt.).

W zupełnie odmiennej sytuacji znalazła się wspomniana już Maria Socha. Mimo iż została zatrudniona do pomocy w miejscowym sklepie (zapłatą były kartki na chleb, nafta do lampy i talerz zupy na obiad), nie zaniedbywała nauki, a z pomocą spieszyły jej koleżanki z klasy.

„Pracowałam od świtu do późnego wieczora, biegnąc po schodach do magazynu po naftę i karbid, nalewając je do różnych naczyń, przyniesionych przez kupujących – wspomina – Do domu wracałam zziębnięta, z opuchniętymi nogami. (...) 5-go lutego 1943 r. została przyjęta, z pewnymi oporami, tak ze strony

kierownika szkoły, jak i swego chlebodawcy, do klasy 7-mej. Do szkoły chodziłam 4 dni w tygodniu, a 2 dni pracowałam w sklepie. Zaległości szkolne nadrobiłam nocami przy lampie naftowej, bo nie było elektryczności. Częściowo pomagały mi koleżanki – Żelechowianki (...). Przynosiły mi do sklepu notatki i tematy do zadań domowych. Warunki do nauki były trudne, bo mieszkaliśmy razem z ciotką i jej dziećmi, w sumie 6 osób w jednej, niewielkiej izbie” (Socha, 2004, s. 5-6).

Na kartach sprawozdań referentów terenowych RGO, sprawujących kontrolę nad dziećmi, umieszczonymi w rodzinach zastępczych, często pojawiała się informacja o braku dostatecznej ilości odzieży i obuwia, co w znacznym stopniu uniemożliwiała dzieciom dotarcie do szkół. Jednocześnie był to też problem dzieci miejscowych. Przedłużająca się wojna, ogólne zniszczenie odzieży, wygórowane ceny rynkowe oraz ograniczone do minimum przydziały centralne RGO zaspokajały tylko częściowo istniejące zapotrzebowanie. Ponadto w sprawozdaniach tej organizacji wielokrotnie wskazywano też na problem nadmiernego wykorzystywania wysiedlonych dzieci w pracach domowych bądź gospodarskich. W jednym z nich odnotowano: „Znaczna większość dzieci w wieku szkolnym nie chodzi do szkół. (...) Chłopcy zgodzeni do pasionki są wyszkiwani” (AAN, RGO, sygn. 787, k. 164).

Już podczas umieszczania wysiedlonych dzieci w rodzinach zastępczych stwierdzono przypadki (wprawdzie incydentalne), kiedy to ludność kierowała się nie tyle odruchem serca, co potencjalnymi korzyściami. Sytuacja taka miała miejsce na przykład w Żelechowie, gdzie „(...) ludność zbiegła się, by dzieci rozebrać – część biedoty kierowała się częściowo interesem biorąc starsze dziewczynki i chłopców” (Madajczyk, 1979, t. I, s. 333). Wykorzystywanie dzieci jako siły roboczej w gospodarstwach (głównie przy pasieniu drobiu i bydła) było zjawiskiem powszechnym zwłaszcza na wsiach, choć zdarzało się i w miastach. Miało ono miejsce we wszystkich trzech powiatach dystryktu warszawskiego, do których skierowano transporty. Fakt ten potwierdzają zarówno zachowane sprawozdania RGO, jak i relacje oraz wspomnienia wysiedleńców. O ile jednak dzieci pracowały ponad siły, o tyle dla niektórych z nich stwarzało to możliwość poprawy ciężkich warunków bytowych niezdolnych do pracy pozostałych członków rodzin.

Z usprawnieniem działalności pomocowej, ułatwieniem rozpoznania potrzeb oraz utrzymywania kontaktu z podopiecznymi z Zamojszczyzny w niektórych miejscowościach dystryktu, wiązało się utworzenie rejonów opiekuńczych oraz powołanie opiekunów rejonowych (spośród miejscowej społeczności). Natomiast działający w terenie z ramienia RGO instruktorzy rejonowi mieli za zadanie m.in. roztoczenie opieki i kontrolę warunków egzystencji wysiedleńców, w szczególności dzieci. Bywało, iż wizytując rodziny zastępcze przeprowadzali oni interwencje przenosząc dzieci do innych rodzin bądź do placówek opiekuńczych. Przykładowo w kwietniu 1943 r. referent RGO wizytujący wysiedlone dzieci w jednej z delegatur terenowych w powiecie siedleckim, stwierdził: „(...) dwoje dzieci należy zabrać z rodzin zastępczych, jedno znalazło się w dość licznej rodzinie, gdzie dobra opieka przy najlepszych chęciach nie jest możliwa, drugie zaś u właściciela restauracji, u którego otoczenie nie daje gwarancji dobrego wychowania dziecka” (AAN, RGO, sygn. 506, k. 87). W dalszej części sprawozdania wskazał na kwestię zaniedbywania realizacji obowiązku szkolnego: „Charakterystyczne jest, że żadne dziecko nie chodzi do szkoły, zarówno z tych, które przyjęły rodziny zastępcze, jak i tych, które pozostały z rodzicami” (AAN, RGO, sygn. 506, k. 87).

Oprócz nadmiernego wykorzystywania dzieci w pracach domowych i gospodarskich istniało też zjawisko zupełnie przeciwstawne: nadopiekuńczość rodziców zastępczych. Otaczanie dzieci nadmierną opieką mogło w konsekwencji wpłynąć niekorzystnie na ich dalszy rozwój psychiczny, a nawet doprowadzić do osłabienia bądź zatarcia więzi rodzinnych. W trakcie kontroli warunków bytowych rodzin zastępczych w Stoczku Łukowskim (powiat Garwolin) stwierdzono:

„Stan opieki ze względu na potrzeby fizycznego rozwoju dziecka — bardzo dobry. Stan opieki natomiast ze względu na psychikę dziecka i konsekwencje społeczne budzi pewne obawy. Dzieci są na ogół rozpieszczone, traktowane (szczególnie w jednym przypadku — Sawińska) jako cudowna, rozkoszna zabawka, a we wszystkich wypadkach zauważyłam, że dzieci niechętnie mówią, a nawet z przykrością słuchają o rodzicach, często na pytanie, jak się nazywa — wymienia nazwisko opiekunów” (AAN, RGO, sygn. 777, k. 160).

Nadmierna troska o dzieci (zwłaszcza te najmłodsze) wynikała, jak się wydaje, z chęci zrekompensowania im doznanych krzywd oraz rozłąki z rodzicami. Natomiast upływający czas spowodował, iż wiele dzieci w szybkim tempie adaptowało się do nowych warunków. Część z nich zaczęła nawet mniej tęsknić za rodzicami.

Traumatyczne przeżycia dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny, związane z odłączeniem ich od rodziców w obozie przejściowym w Zamościu, a następnie wielomiesięczna rozłąka i pobyt w zupełnie obcych rodzinach (bądź placówkach opiekuńczych) przyczyniły się w wielu przypadkach do utraty więzi między dziećmi i ich rodzicami biologicznymi. To bolesne doświadczenie dotknęło m.in. wspomnianego Janka Tchórza. To niespełna trzyletnie dziecko umieszczono początkowo w jednym ze stołecznych sierocińców (po okresie leczenia w jednym z warszawskich szpitali), a następnie — w rodzinie Piekarskich z Warszawy. W sierocińcu chłopcu nadano imiona: Krzysz Dionizy, gdyż nie znał on swojego imienia (ani też nazwiska). Po kilkumiesięcznej rozłące z matką reakcja tego dziecka na jej widok była następująca:

„Janek nie chciał się przywitać ze swoją matką, choć gdy tylko rodzice [Piekarscy] dowiedzieli się, kim jest, wszyscy zaczęliśmy go uczyć jego prawdziwego imienia i nazwiska. Gdy mówiliśmy mu: »Nazywasz się Jan Tchórz«, on oburzony krzychał: »Aś ne Tuś, aś Ksyś!«. Gdy rodzona matka przytuliła go do piersi i zaczęła całować, odepchnął ją brutalnie i począł wydrapywać każdy pocałunek” (Piekarski, 1979, s. 73).

Silna więź emocjonalna z rodzicami zastępczymi nawiązała się też m.in. pomiędzy Ireną Opitz (ur. 1934) i jej opiekunami (rodzina Sokołowskich z Pruszkowa, k. Warszawy). Po wysiedleniu do Żelechowa (powiat Garwolin) Irena przebywała początkowo (wraz z siostrą) w jednej z miejscowych rodzin (nazwiskiem Tarraro), a następnie została przewieziona do Warszawy (w celu wyleczenia świerzbu). Po krótkim pobycie u samotnej kobiety (pracownicy „Wedla”) znalazła się w Pruszkowie. Od pierwszych dni po umieszczeniu dziecka w rodzinie Sokołowskich starano się zapewnić mu przyjazną atmosferę i właściwe warunki egzystencji:

„Na drugi dzień — wspomina Irena Opitz — kupiono mi nowe zabawki, sukienki i tak rozpoczęło się moje nowe życie wśród bardzo życzliwych mi ludzi. (...) Po pewnym czasie zaczęły mnie odwiedzać siostry. Tak się złożyło, że byliśmy niezbyt daleko siebie. Najpierw przyjechała Stefa z p. Tarraro z Żelechowa. Potem Fela z ciotką Irką z Warszawy. Mimo, że były przyjmowane jak najbliższa rodzina i spokojnie o mój los, były bardzo smutne, patrząc jak tulę się do obcych ludzi i zwracam czulej niż do naszych rodziców - ale wtedy mi

o tym nie mówiły. Gdyby jeszcze wiedziały, że nie chciałam nazywać się Nagas, tylko Sokołowska, bo mi się to nazwisko bardziej podobało!” (Opitz, 1985, s. 9, 11).

Nieodpowiednie warunki bytowe wysiedlonych dzieci, nagminne wykorzystywanie ich w pracach gospodarskich, a także osłabnięcie zapala społeczeństwa, rzutującego na działalność pomocową spowodowały konieczność umieszczania ich w zakładach opiekuńczych. Były to zarówno placówki już istniejące, jak i nowe.

Pobyt wysiedlonych dzieci w dystrykcie warszawskim obfitował w różnego rodzaju wydarzenia nie zawsze mające pozytywny wydźwięk. Bywały sytuacje, podczas których istniały obawy o ich bezpieczeństwo. W pamięci Zenona Woźniaka (ur. 1935), wysiedlonego do Siedlec, a stamtąd do pobliskiej miejscowości Żeliszew, zachowały się szczegóły, związane z akcją werbowania przez Niemców młodzieży na roboty do Rzeszy:

„Latem 1943 r. Niemcy zaczęli atakować wieś, ażeby wyłapać młode osoby na wysyłkę na roboty do Niemiec. Synowie Gospodarza i córka schowali się do piwnicy pod domem, a wejście do piwnicy było pod łóżkiem, na którym spałem z bratem. Mama posadziła nas na łóżko a wejście zakryła skrzynią z ziemniakami. Niemcy przeszukali mieszkania gospodarza, a później przyszli do naszej izby. Jeden z nich mówił po polsku. Zorientował się, że nie pochodzimy z tej wsi i zażądał dokumentów. Mama pokazała dokument, wydany przez Polski Komitet Opiekuńczy w Siedlcach i Niemcy wyszli, bez żadnej rewizji. Podobna sytuacja miała miejsce na wiosnę 1944 r., gdy wokół Niemcy palili w powiecie siedleckim wsie, za rzekomą współpracę z partyzantami. Niemcy weszli na podwórko Kaniów, gospodarz do nich wyszedł. Chcieli się napić wody ze studni, a następnie zapytali, jacy obcy ludzie przebywają w jego domu. Gospodarz wymienił nas. Przyszli do naszego mieszkania, a w piwnicy znów ukrywały się dzieci gospodarza. Niemcy zapoznali się z dokumentem Polskiego Komitetu Opiekuńczego i zaniechali poszukiwań. Łatwo się teraz pisze, ale trudniej było wszystko przeżyć” (Woźniak, 2009, s. 10-11).

Większość dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny opuściła rodziny zastępcze w dystrykcie warszawskim latem 1944 r., po wyzwoleniu tych terenów spod okupacji niemieckiej, choć zdarzały się przypadki wcześniejszych powrotów – w rezultacie poszukiwań przez członków rodzin lub krewnych. Wiele dzieci pozostało w dystrykcie warszawskim do czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Były to głównie sieroty, które w czasie wojny straciły najbliższych członków rodziny bądź te dzieci, które oczekiwały na powrót matki lub ojca, względnie obojga rodziców, wywiezionych na roboty przymusowe do Rzeszy.

Po 1945 r. w rodzinach zastępczych w dystrykcie przebywały już tylko nieliczne dzieci – i to za zgodą rodziców, mimo iż opiekunowie wysiedlonych dzieci wielokrotnie oferowali możliwość dalszej opieki i pomocy. Rzadko zdarzało się też, by rodzice wyrażali zgodę na adopcję dzieci przez rodziny zastępcze, sprawujące nad nimi opiekę. Niewielu decydowało się też na pozostawienie dzieci w placówkach opiekuńczych.

Te dzieci, które przeżyły piekło wysiedlenia i rozłąkę z rodzicami, musiały przedwcześnie dorosnąć i dźwigać na swych barkach, mimo młodego wieku, bagaż dramatycznych przeżyć. Przedwcześnie dojrzałe przeżywały wielokrotnie swój wielki dramat: podczas wypędzenia z rodzinnego domu, przymusowego rozstania z rodzicami w obozie przejściowym w Zamościu, podczas pobytu w rodzinach zastępczych – z dala od swoich bliskich, w ogromnej trwodze i obawie, że już nigdy ich nie zobaczą. Wreszcie – po

powrocie w rodzinne strony, kiedy po wielomiesięcznej rozłące wiele dzieci (głównie te najmłodsze) – miało problemy z rozpoznaniem najbliższych członków rodziny. Często bywało, iż musiały oswoić się z tragicznymi wiadomościami o losie swoich bliskich.

Zaakcentowane powyżej wybrane aspekty, związane z życiem codziennym dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny, przebywających w dystrykcie warszawskim, pozwalają jedynie na zasygnalizowanie pewnych zagadnień - wobec szerokiego spectrum problematyki, wymagającej spopularyzowania.

Bibliografia

- Archiwum Akt Nowych w Warszawie, zespół: Rada Główna Opiekuńcza, sygn. 506, k. 87; sygn. 687, k. 191; sygn. 777: k. 3, 160; sygn. 787, k. 164.
- Brzozowska H. (1993). *Nasza dziwna grupa ZWZ-AK*. Kraków: WAM.
- Kozaczyńska B. (2006). *Losy dzieci z Zamojszczyzny wysiedlonych do powiatu siedleckiego w latach 1943-1945*. Siedlce: Wyd. „Tutajteraz”.
- Kozaczyńska B. (2011). *Ocalone z transportów Dzieci Zamojszczyzny. Losy dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny do dystryktu warszawskiego 1942-1945*. Siedlce: Wyd. „Tutajteraz”.
- Kuzańska-Obrzączkowska M. (1975). O dzieciach z Zamojszczyzny w powiecie garwolińskim. W: S. Tazbir (red.) *W obronie dzieci i młodzieży w Warszawie 1939-1944* (s. 146-147). Warszawa: PIW.
- Lenar A. (1983). Szczęśliwy człowiek. *Kurier Polski*, 123, (b. n. s.).
- Madajczyk Cz. (1979) (red.). *Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium SS. Zbiór dokumentów polskich i niemieckich z okresu okupacji hitlerowskiej*. T. I. Warszawa: LSW.
- Mańkowski Z. (1978). *Między Wisłą a Bugiem 1939-1945*. Lublin: Wyd. Lubelskie.
- Opitz I. (1985). *Wspomnienia z 1942-1945 r.* Nowy Dwór Gdański (maszynopis).
- Piekarski M. (1979). *Tak zapamiętałem. Wspomnienia z lat 1939-1945*. Warszawa: PIW.
- Pilichowski Cz. (1979). Obozy i ośrodki przymusowego odosobnienia. W: Cz. Pilichowski (red.) *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945* (s. 52). Warszawa: PWN.
- Prochenka J. *Podlasie dla Zamojszczyzny*. Siedlce (maszynopis niedatowany, złożony na I Ogólnopolski Konkurs na pamiątki seniorów dla członków Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Seniorów pod patronatem „Dziennika Wieczornego” w Bydgoszczy. Zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Siedlcach).
- Rago D. (1968). Byłem w transporcie dzieci Zamojszczyzny. *Kurier Lubelski*, 104, s. 2.
- Socha M. (2004). *Moje wspomnienia z czasów okupacji hitlerowskiej po wybuchu II wojny światowej i pacyfikacji Zamojszczyzny w latach 1940-1945*. Sitaniec (maszynopis).
- Ślaski J. (1990). *Polska walcząca*. Warszawa: PAX.
- Tarasiewicz K. (1971). *Kawa po warszawsku. Dzieje firmy „Pluton”*. Warszawa: GIW.
- Woźniak Z. (2009). *Moje wspomnienia z lat okupacji niemieckiej 1939-45*. Łódź (maszynopis).

Summary

**No parents, no home... Daily Occupation Displaced Children
from Zamojszczyzna Region to the Warsaw district in 1942-1943 (some aspects)**

The health of the children expelled from Zamojszczyzna Region and relocated in the Warsaw district required immediate attention. The Warsaw district community saved the children from the certain death envisaged in the Nazi's long-range criminal plan, the fate intended for all of the victims of the expulsion and colonization operations carried out in Zamojszczyzna Region. The children needed medicines and proper nourishment. The sickest children required hospital care, but this was not always possible to arrange. Because of the lack of space in hospitals, some of the children were transported to hospitals in Warsaw. The unsuitable conditions for the Zamojszczyzna children residing with these foster families, and their excessive exploitation in farm work in the three counties mentioned above, made it necessary for them to be moved to other families or to foster care agencies. All children of school age were required to attend school.